

# BIUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

**Prenumerata w Warszawie:**

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

**Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:**

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.



Maryla.



Żołegnanie z Marylą.



# ADAM MICKIEWICZ.

## II.

Mówiąc o wędrowce dyplomu uniwersyteckiego Mickiewicza w pogoni za poetą, zaznaczyliśmy te punkty w Rosji, w których się wieszcz zatrzymywał w drugiej epoce swego życia.

Był to okres przełomu psychologicznego poety. Mickiewicz w ciągu 1825 przebywa, między innymi, w Odesie, oczekując na posadę nauczyciela w liceum Richelieu'go, mając zaś dużo wolnego czasu, poczyna wiele prywatnych znajomości, w Odesie bowiem życie wielkoświatowe drgało tętnem bardzo przyspieszonym. Mieszkały tam wówczas różne domy: Zalewskich, Sobańskich, Potockich, Rzewuskich, Podhorodeńskich etc. W towarzystwie miłym i dystyngowanym czas upływał pocie nader szybko i przyjemnie. Zwłaszcza towarzystwo p. Karoliny Sobańskiej, siostry Henryka Rzewuskiego, przypadło mu do gustu; poeta zakochał się w pięknej damie i odbył z nią i z Rzewuskim wycieczkę na Krym, gdzie powstały słynne „Sonety krymskie.“ Świetne to życie jednak i rozrywki sprzykrzyły się wielkiemu wieszczowi duchowi, pragnącemu głębiej wnikać w zagadnienia umysłu i serca.

Spodziewając się lepszej sposobności do intelektualnej pracy, Mickiewicz w listopadzie 1825 roku opuszcza Odesę i udaje się do Moskwy, gdzie zawiązał stosunki z wybitnymi literatami i uczonymi rosyjskimi: Polewojami i ks. Wiazemskim — ten ostatni umiał po polsku i mógł ocenić wielki talent wieszca, tłumaczył też utwory Mickiewicza, umieszczając je w wydawanym przez Polewoja „Moskiewskim Telegrafie.“

W Moskwie Adam Mickiewicz poznał się z Puszkim i z ks. Zenejdą Wołkońską, która Mickiewicza przyjmowała w swoim „greckim pokoju,“ unieśmiertnionym przez poetę. Dzięki uprzejmości ks. Wołkońskiej, przed Mickiewiczem przesunął się cały świat arystokratyczny i wielu ludzi utalentowanych, nie dłużył się też, czas pocie w Moskwie, gdzie dwa lata spędził w jak najlepszym usposobieniu — i wyjechał ztąd do Petersburga na dobre dopiero w kwietniu 1828 r., żegnany przez literatów rosyjskich bardzo serdecznie.

Nad Nową spotkał się Mickiewicz z dawnymi przyjaciółmi i znajomymi, między innymi z pianistką Maryą Szymanowską, z której córką młodszą Celiną później się ożenił. W Petersburgu, jak w Moskwie, poeta zjednął sobie powszechną sympatię w gronie przyjaciół, a kiedy opuszczał stolicę Rosji, żegnano go z równą, jak przedtem serdeczną szczerością.

Na parostatku Jerzy IV, 25 maja 1829 r. Adam Mickiewicz ruszył w świat, zatrzymując się najpierw w Berlinie i wchodząc tam w koło młodzieży polskiej, w stolicy Niemiec się kształcając, a z entuzjazmem wieszca przyjmującej.

Tutaj zapoczątkowała się przyjaźń Mickiewicza z Stefanem Garczyńskim. Z Berlina poeta wyjechał do Dreżna, Pragi, Karlsbadu „dla picia wód tamtejszych, które jednak z powodu udręczeń sławy wydały mu się zaprawione emetykiem.“ W Karlsbadzie spotkał się z Mickiewiczem Odyniec, z którym zamierzył odbywać podróż. W Weimarze Mickiewicz wziął udział w uroczystości osmdziesiątej rocznicy urodzin Goethego; przed wyjazdem Mickiewicz i Odyniec otrzymali od Goethego po piórze i po autografie, co sobie obydwa wysoko cenili.

W dalszym ciągu Mickiewicz zwiedził brzegi Renu, Koblencę, Moguncję, Kolonię, Strassburg, Zürich, dzikie wierzchołki Alp, Medyolan, Weronę, Wenecję, Padwę, Bolonię, Florencję, Rzym, Neapol i Sycylię.

W wiecznym mieście znalazł sławną swoją protektorkę, ks. Wołkońską, która go zapoznała z posłem rosyjskim, ks. Gagarynem, z ks. Wilhelmem Radziwiłłem, z hr. Władysławem Zamoyckim, z hr. Ankwicami, Thorwaldsenem, Horacym Vernetem, Cammuccinim; odwiedził też królową holenderską Hortensję. W Rzymie również zastał Henryka Rzewuskiego i Aleksandra hr. Potockiego, przybył tu także Stefan Garczyński.

Z towarzystwa rzymskiego najgłębsze wrażenie pozostawił stosunek z domem Ankwiców.

Przez Paryż w r. 1831 spieszy Adam Mickiewicz w Poznańskie, pragnąc udać się do Królestwa, ale zamiaru skutecznego nie mógł, gdyż granica pilnie była przez wojsko pruskie strzeżona. W Dreźnie, na początku 1832 r. Mickiewicz poznaje się z Klaudyą z Działyńskich Potocką wczorwu tegoż roku poeta przenosi się do Francji.

W Paryżu panowały niezbyt sympatyczne stosunki emigracyjne; rozterka wewnętrzna toczyła towarzystwo polskie nad Sekwaną. Wieszcz w proroczych słowach zalecał mu: jedność, miłość i zgodę — a słowa te głosił z głębi przekonania w porywającym natchnieniu. Niedostatek i kłopoty nie odstępowały poety ani na chwilę, wieszcz jednak nie ustaje w tworzeniu i zaczyna pisać w r. 1832 „Pana Tadeusza,“ a gdy to arcydzieło w świat puszczał, postanowił zakończyć życie kawalerskie i listownie wezwał do Paryża z Petersburga Celinę Szymanowską, mieszkającą przy siostrze Franciszkowej Malewskiej. Wezwana przybyła, aby połączyć się węzłem dożgonnym z niepewnym losem poety. Zona umiała się zastosować do położenia męża, bo „przestawała na małym, śmiała na wszystkie przygody i zawsze wesoła.“ Wieszcz był przywiązany mężem i najczulszym ojcem. „Zostało mi w pamięci — pisze p. Górecka córka poety — że ojciec bardzo mnie psuł, pieścił i dużo się mną zajmował, do tego stopnia, że jak mi później opowiadała mama, kiedy mnie zaczęto w pieluchach sadzać na ziemi, ojciec kładł się obok mnie, abym patrząc na niego nauczyła się pełzać, bo lękał się, żebym własnym rozumem niepotrafiła z miejsca ruszyć na czworakach. Do trzech lat przeszło nie chciałam inaczej zasnąć niż na ręku ojca, który długimi godzinami nosił mnie po pokoju, ani pozwolił, żeby gdzie wyszedł wieczorem. To też ojciec musiał używać wybiegów, aby się oswobodzić od swego tyrana, jak mnie sam często nazywał. Zatem, kiedy miał wyjść wieczorem, a moje przenikliwe oczy zamknąć się nie chciały, zapowiadał, że mnie bierze ze sobą do znajomych. Ubierano mnie w kapelusik i płaszcz, i ojciec, wynosząc mnie do drugiego ciemnego pokoju perswadował, że idziemy po schodach, że przechodzimy przez ulice, póki ukołysana nie zasnęłam na jego ręku.

Te moje dzikie wymagania nie przeszkadzały admiracyom ojcowskim dla zepsutego dziecka. Pamiętam, jak dzisiaj, że mam miała jakieś trzewiczki, do których ciągle piasek wpadał; ledwie kilka kroków uszłam, utyskiwać zaczynałam, że mnie kole. Wówczas ojciec z niezmordowaną cierpliwością przyklekał na ziemi, zdejmował, piasek wysypywał i wkładał mi je znowu, aby za chwilę znów mieć tę samą przyjemność.“

Taką prostotą teńnęły uczucia poety, jako ojca. Gdy żona zapadła w obłąkanie i przez rok znajdować się musiała w zakładzie w Vanvres, Mickiewicz sam się domem zajmował. Po wyzdrowieniu żony d. 1 października 1839 r. Mickiewicz obejmuje profesurę w Lozannie, otrzymawszy 3,000 fr. rocznej pensyi.

W rok potem wezwany przez rząd francuzki zostaje profesorem literatur słowiańskich w Collège de France. Oklaskami obsypano poetę, gdy po pierwszym wykładzie schodził z katedry. W parę dni po tym wykładzie, d. 25 grudnia 1840 r., na uczcie składkowej, wydanej przez rodaków, wygłosił Mickiewicz słynną improwizację, która porwała zebranych, elektryzując ich siłą natchnienia:

Ja rymów nie dobieram, ja zgłosek nie składam. Tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam,

W piersi tylko uderzę, wnet zdroj słów wytrysnie,  
A jeśli na tym prądzie iskra boża błysnie...

Niesnaski wśród Polaków znowu przyczyniać zaczęły pocie wiele przykrości; powtórne obłąkanie żony jeszcze bardziej zgnębiło go, w tem zaś zgnębieniu wieszca poznał Andrzeja Towiańskiego, który uleczył żonę Mickiewicza. Odtąd poeta zaczyna być wyznawcą idei mistrza Andrzeja i krzewicielem ich żarliwym. To pozbawiło go katedry, bieda zakradła się do domu. Poety natchnienie stłumione zamarło w piersi.

W r. 1852 Mickiewicz został bibliotekarzem przy Arsenale z pensją 2000 fr. oraz mieszkaniem. Tutaj, wśród rodziny się zamknął i, jak mówił, drzwi od hałasów Europy zatrzasnął. Ulubioną rozrywką poety była gra w szachy.

W r. 1855 Mickiewicz stracił żonę, która osierociła sześcioro dzieci; tegoż roku poeta, pełnomocniony przez rząd francuzki, udał się do Konstantynopola z dwoma towarzyszami, Armandem Lévy i Henrykiem Służalskim, aby wziąć udział w wypadkach ówczesnych.

Mieszkali w smutnym, opuszczonym domu. W nocy z 25 na 26 listopada 1855 r. Adam Mickiewicz zachorował; potem zrobiło mu się lepiej. D. 26 listopada w południe poczuł, iż mu jest gorzej; koło g. 5-ej lekarze zwątpili o życiu poety. Skoro się o tem Mickiewicz dowiedział, polecił zawołać przyjaciela swego, ks. Ławrynowicza i chciał mu podyktować testament, nie był już tego w możności uczynić. Ostatnie słowa, jakie poeta wygłosił, były zwrócone do oddalonych od niego dzieci:

— Powiedzcie im — mówił — niech się kochają zawsze...

O g. 9 wieczorem 26 listopada 1855 r. poeta życie zakończył; w chwili skonań ks. Ławrynowicz dał mu Ostatnie Namaszczenie.

Daty urodzin i zgonu Adama Mickiewicza nie ulegają wątpliwości. Świeżo p. Leopold Méyet \*) w artykule bardzo wyczerpującym i przekonującym, p. t. „Dzień urodzenia Adama Mickiewicza,“ przytoczywszy wszystkie dotychczasowe wersje, daty tej dotyczącej, z uwzględnieniem „Zbioru praw Cesarstwa,“ twierdzi z całą słuszną stanowczością, iż Wieszcz przyszedł na świat w d. 24 grudnia 1798 r. według nowego stylu. P. Méyet zbija dowodnie zdania przeciwnie, ostatecznie zaś przekonany przytoczeniem następującego dokumentu z d. 15 kwietnia 1841 r.

*Par devant nous, Maire du 1-er Arrondissement de Paris, s'est présenté M. Mickiewicz (Adam Bernard), chargé du Cours de littérature slave au Collège de France né en 1798 dans le Duché de Lithuanie (Pologne), demeurant rue de Amsterdam N. 1 etc.*

To oświadczenie poety osobiste przed merem musi przekonać każdego ostatecznie.

Szczątki śmiertelne Wieszca w d. 30 grudnia 1855 r. przewieziono do Paryża, zkład je w d. 4 lipca 1890 r. sprowadzono i na Wawelu w dniu tym złożono.

Adam Dobrowolski.

\*) Patrz „Kuryer Warszawski“ N. 1 z d. 1 Stycznia bież. roku.



## Ruch niewieści w Niemczech.

(NOTATKA HISTORYCZNA).

(Dalszy ciąg).

Ruch niewieści owej epoki, rzadkie posiadał w Niemczech szczęście. Oto, dzięki ogólnemu, bardzo poważnemu usposobieniu kobiet germańskich, na czele nowego kierunku nie stanęła ani jedna rozwichrzona emancypantka, ani jedna ekscentryczna krzykaczka, któraby poniżyła sztandar feminizmu własnymi dziwactwami. Przeciwnie; ster tej ważnej sprawy społecznej, ujęły kobiety starsze, nieskazitelne, o wyrobionej opinii dobrych żon i matek, wzorowe obywatelki, których nazwisko samo stanowiło już dla ogółu rękojmię pracy uczciwej, a pożytecznej. Zrozumiano też odtąd, że nie o czczy rozgłos tu chodzi, lecz o poprawienie ciężkiego losu tysięcy istot ludzkich.

Jedną z pionerek takich, której imię winny kobiety we wdzięcznej chować pamięci, była, nieżyjąca już dzisiaj, Marya Calm. Energii jej, taktowi i rozumnemu umiarkowaniu, zawdzięczają Niemcy cały szereg komitetów lokalnych oraz związków pomocniczych.

W ślad za nią, do sprawy tej przyłożył rękę w 1866 r. jeden z najszlachetniejszych propagatorów cywilizacji, głośny obrońca indywidualnej wolności człowieka: D-r Adolf Lette. Jakby przewidując rychłą śmierć własną, (w 1868 r.) utrwalił on swą pamięć założeniem „Związku do szerzenia i ugruntowania, zawodowego wykształcenia kobiet,“ *Verein zur Beförderung der erweiterten Erwerbsfähigkeit des weiblichen Geschlechts*. Skomplikowany ów tytuł, zastąpiono po zgonie założyciela nazwą, która pomnikiem stała się dla niego. Stowarzyszenie, *Lette-Verein*, rozgłosem swym objęło dziś Germanię całą.

Piękną duchową spuściznę, oraz połączone z nią społeczne zadanie, objęła po D-r Adolfie Lette, córka jego pani Schepeler-Lette, która, do dziś dnia, zajmuje stanowisko przewodniczącej, we wzorowo zorganizowanym *Lette-Verein*ie. Ku pomocy i dla uzupełnienia związku centralnego, powstały w całych Niemczech stowarzyszenia pomocnicze. Połączone w jedno centralne ognisko, z siedzibą główną w Berlinie, noszą one nazwą *Lette-Verband*.

Doniosła ta instytucja, z której urzędzeniami zapoznamy kiedyś czytelniczki „Bluszczu“ osobno, stała się rozsądnikiem nowszych poglądów na produkcyjną i dochodową pracę niewieścią. *Lette-Verband*, urządzając walne zgromadzenia swe w coraz innych miastach Rzeszy niemieckiej, popularyzował ideę fachowego wykształcenia dziewcząt, zjednawszy dla niej szersze masy ludności, oraz zarządy miast i gmin. Dopomagał mu do tego miesięcznik *Frauenanwalt*, redagowany przez Jenny Hirsch, a wydawany przez zarząd związku.

Z początku, oba wielkie stowarzyszenia *Lette-Verband* i *Der allgemeine deutsche Frauenverein*, działały każdy na swoją rękę, przynosząc nawet pewne rozdzielenie w sferach niewieści. Przy wspólnym jeździe dopiero, we Frankfurcie nad Menem, porozumiano się. Co do wzajemnego uzupełnienia zakresu swej działalności i odtąd, delegatki obu związków, naradzają się przy każdej ważniejszej inicjatywie lub publicznym wystąpieniu.

Do ogólnych usiłowań kobiet germańskich, należy jeszcze zaliczyć stowarzyszenia niemieckie w Austro-Węgrzech. Największe zasługi położyły tam: Augusta von Littrow-Bischof, Maryana Heinisch, Paulina Frankl von Hochwart, Irma Troll von Boorstyani, Joanna von Eitelberg, Marya von Luccam, Otylia Bondy, Joanna Meiner, Marya Teresa May i wiele innych.

Z chwilą gdy starania o prawa wyborcze odrzucone zostały przez sejm węgierski, kobiety austriackie zwróciły się ku łatwiejszym do pozyskania, a równie realnym przywilejom. Wstę-

pem do nich była szeroko rozwinięta działalność pedagogiczna, filantropijna i wogóle społeczna. Pozakładały więc: całe szeregi stowarzyszeń szkolnych, ogródki dla dzieci, ochrony i przytulki, zakłady dla głuchoniemych i ociemniałych, związki gospodarcze, kuchnie ludowe, gospody chrześcijańskie, i t. d. Zorganizowany w 1866 r. w Wiedniu „Zarobkowy związek kobiet,“ *Frauenarbeitsverein*, doszedł do tak znacznego rozwoju, iż dziś, na wzór Berlina i Hamburga, posiada dom własny, na pomieszczenie biur swych i oddziałów. On pierwszy kształcił w swych zakładach, urzędniczki pocztowe i telegraficzne, rozrzucone obecnie na obszarze całych Austro-Węgier.

Kreśląc historię ruchu niewieściego w Niemczech, niepodobna pominąć milczeniem roli, jaką w nim odegrały, kobiety z rodów panujących.

Wziąwszy do serca szlachetny przykład miss Nighingale, która, z takim bohaterstwem i zaparciem się siebie, zorganizowała w 1859 r. podczas wojny austriacko-węgierskiej, pomoc dla rannych i nieszczęśliwych, pierwsza Cesarzowa Augusta spróbowała koić ręką niewieścią, okrucieństwa walki mordecznej. Dzięki jej inicjatywie i przykładowi, powstaje, obok głównego stowarzyszenia, 900 związków pomocniczych, które, łącząc się w tak zwany *Landes-Verein*, liczą 200,000 członków czynnych, niosących pomoc ranionym i chorym. Wojny więc w 1866 i 1870 r. znajdują już, świetnie zorganizowaną sanitarną armią niewieścią, która z poświęceniem życia służy ojczyźnie i jej obrońcom.

Wielka księżna badenka, wstępując w ślady matki, cesarzowej Augusty, zwraca jednak działalność swą na inne pole. Założony przez nią, w 1859 roku. „Związek kobiet badenkich,“ bierze za główne zadanie, rozszerzenie wykształcenia niewieściego i ugruntowanie go zarazem. Równocześnie, obok pogłębienia programu szkół wyższych, *Der badische Frauenverein* postanawia wpłynąć na lepsze wychowanie dziewcząt z ludu. Urządza więc wędrownie szkoły kucharstwa i gospodarstwa, rozrzucając zaś, po wsiach i wioskach, wykwalifikowane dozorcynie chorych, poleca im pieczę nad sanitarnymi warunkami chat włościańskich.

Królowa Saska, bierze za punkt honoru podniesienie dobrobytu ludu, przez rozpowszechnienie wyrobu koronek w saskich Górach Kruszcowych. I oto, tam, gdzie nieurodzajna, skalista gleba, kazała pracownikom swym, z nędzą się borykać, kwitną po pewnym czasie, dzięki zwinnym paluszkom dziewczęcym, zadowolenie i względne bogactwo.

Wielka księżna sasko-wejmarska, obok interesów niewieści, bierze w opiekę sprawy literackie, a założywszy *Goethes Gesellschaft*, powierza kult genialnego poety opiece „Związku niewieściego.“

Porzućmy jednak królowe, by przejść do działalności kobiet mniej potężnych, a jednak również wpływowych.

Zapał ku sprawie niewieściej był tak silnym, iż ogarniał wszystkie sfery. Gdy stowarzyszenia zabezpieczyły już swobodę indywidualną i rozwój duchowy klas wyższych, czas było pomysleć o uboższych i wydziedziczonych.

W tym celu zakładają panie berlińskie, w przeróżnych punktach stolicy, kuchnie ludowe.

Nie chodziło tu o jałmużnę, lecz o rodzaj kuratorów trzeźwości, o przyjscie w pomoc, zarówno tym, którzy własnego nie mają ogniska, jak i uboższym gospodyniom, przez dostarczenie im, za najtańsze pieniądze, najlepszych stosunkowo, a już przygotowanych do użycia, materiałów spożywczych. Kuchnie ludowe berlińskie mają wyrobioną sławę wzorowych urządzeń sanitarno-filantropijnych.

W ślad za niemi, wprowadza w 1878 r. „Związek gospodyń niemieckich,“ pod prezydencją i na wniosek p. Liny Morgenstern, ludowe szkoły kucharstwa. Obok zajęć praktycznych, obowiązuja tu wykłady: higieny, fizjologii, o ile tłumaczy ona odżywianie się organizmu, towaroznawstwa, rachunkowości i gospodarstwa domowego.

Nauczanie jest popularne i bezpłatne, dostępne dla najuboższych nawet.

Próba wpływu tego na rozwój zamożności wśród ludu, na trzeźwość jego i odżywianie się, a więc siłę do pracy, okazała się tak skuteczną, iż, w ślad za działalnością dam berlińskich, p. Heuer założyła taką szkołę w Kielu, a *Der Badische Frauenverein* urządził jak to wspominaliśmy—podobnie wykłady po wsiach. Powstały one również: w Hanowerze, Frankfurcie nad Menem, Karlsruhe i innych miejscowościach, sięjąc wszędzie umoralnienie, wśród licznej rzeszy: kobiet z ludu, pracownic fabrycznych i wyrobnic.

Inną, palącą kwestyą, było ocalenie dziesiątków tysięcy robotnic od wyzysku i nędzy, które pchały je w szpony wojującego socjalizmu.

I tu inicjatywa kobiet szlachetnych okazała się skuteczną.

W 1869 r., wygłasza w Berlinie odczyt p. Ludwika Otto i, po ukończeniu go, skłania zebranych do związania stowarzyszenia, mającego na celu kształcenie robotnic. Przy nowej tej instytucji powstaje natychmiast kasa wsparcia dla chorych, zorganizowanie wykładów i wieczorków, na którychby robotnice znajdowały godziwą, a zdrową rozrywkę. W 1874 r. tygodnik *Hausfrauenzeitung* otwiera, przy biurze swem, bezpłatne porady prawne dla rzemieślniczek i robotnic fabrycznych, które obierają sobie za przedstawicielki, w układach z chlebodawcami: Maryannę Menzer, Joannę Wecker, panią Guillaume-Schack i panią Hoffmann, doktorkę medycyny.

Notujemy te cztery nazwiska, dla zaznaczenia, iż kobiety wyższych sfer, z uniwersyteckim wykształceniem, nie lękały się zniżyć do obcowania z prostymi robotnicami, byle, niosąc im światło i polepszenie doli, ocalić tysiące od zamętu rewolucji socjalnej.

Niestety, pojedyncze siły nie wystarczały tu do powstrzymania klęski, która w Europie żywiłową przybiera cechę. Od 1889 r. robotnice niemieckie, opanowane przez agitację socjalistyczną męską, założyły własne stowarzyszenia, jednoczące się około pisma *Równość*. Przeciwdziałając prądowi temu, może odtąd państwo jedynie.

Siły więc związków feministycznych zwróciły się głównie ku oświacie, ku rozszerzeniu naukowego i fachowego wykształcenia niewieściego.

Niepodobna nam zatrzymywać się nad rozwojem tego kierunku. Zaznaczamy więc tylko, iż, dzięki działaniu jego, powstały całe szeregi: Szkół wyższych i uczelni specjalnych: rzemieślniczych, przemysłowych, handlowych, gospodarczych, sztuki stosowanej, malarstwa, rzeźby, i t. p. Dalej, przeciwdziałając właśnie klęsce socjalnej, pozakładały kobiety niemieckie: przytulki dla sierot, szkółki elementarne dla chłopów i dziewcząt kolonie letnie, stowarzyszenia opieki nad młodzieżą, nad sługami, schroniska dla wychodzących ze szpitali, i t. d. i t. d.

W pracy tej doniosłej, a pełnej obywatelskich zasług, pomagali najgorliwiej stowarzyszeniom niewieściem ludzie tak znani, jak: D-r Schwerin, prof. von Holzendorff, baron Schmidt von Zambierow, prof. Brühl, senator Schlaeger i cała plejada rozumnych, a najlepszymi chęćmi ożywionych mężczyzn.

Silny rozwój kwestyi niewieściej na gruncie praktycznym, wywołał bardzo gorące publicystyczne agitacje jej przeciwników. Pomijamy tu ową stronę teoretyczną walki, jakkolwiek echa jej, a nawet przekłady niektórych pism i broszur, nie obce są Warszawie.

Zapał gorących tych utarczek przyniósł jeden dotykany rezultat. Oto, rozgrzawszy umysły, przyspieszył otwarcie uniwersytetów i wyższych szkół dla kobiet.

Ostatnie to już stadyum, w rozwoju kwestyi, której praktyczne zdobycze pragnęlibyśmy szczerze na grunt nasz przeszczerzyć.



Z CYKLU „SERDECZNE PIEŚNI.“

**Kocham cię.**

**K**ocham cię smutkiem co spowija  
Duszę mą w całun chłodny, szary,  
Co skrzydła myślom moim związa,  
W zwątpień pograża je bezmiary...

Kocham tęsknotą, której słyszę  
Smętne kwilenie bezustanka,  
Co mi zakłóca nocną ciszę,  
Co mię każdego budzi ranka...

Kocham cię głuchą tą rozpaczą,  
Co mię tajonym buntem toczy;  
I łzami, które zanim splaczą,  
Pierwej przeboleją moje oczy...

Wszystkiem, co smutkiem jest i cieniem,  
Bólem i żalem, łzą i szalem,  
Beznadziejnością i zwątpieniem,  
Straceniów losem i udziałem —

Wszystkiem, co męką jest bez końca,  
Mogilę snów o szczęściu grzebie;  
Z słonecznych krain w ciemność strąca  
Wszystkiem tem kocham, kocham ciebie!...

Wanda Krasuska.

**BEZKRÓLEWIE**

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

**Maryę Łopuszańska.**

(Dalszy ciąg).

Gdy Magdzia dowiedziała się o przybyciu brata pobiegła natychmiast by go powitać, powiedziano jej że się znajduje u chorążego; musiała jednak się zatrzymać, bo drzwi od komnaty były zamknięte, a przez nie dochodził odgłos żywej rozmowy. Dziewczę niespokojne o to, jak ojciec przyjmie nowoprzybyłego stanęło, słuchając.

— Wszakże sami wiecie, stryju, mówił pan Jan, że wraz z ostatnią swą wolą ojciec wyraził życzenie bym udał się na dwór starosty sniatyńskiego, z którym miał on dawne jakieś relacje...

— Tak, ale pokąd on nie związał się ze Zborowskimi, odparł chorąży. I twój ojciec, choć wiele głupstw, Panie odpuść, narobił; za życia, nie chciał jednak byś służył tym zdrajcom, banitom! Przed śmiercią Pan Bóg go oświecił i sam poznał jak niedorzecznie poprowadził swoje życie!

— Choćby i tak było, rzekł młodzieniec głosem wzruszonym, to sędzę że lepiej zostawić w pokoju tych, którzy już nie żyją i bronić się nie mogą przed żadnym oskarżeniem...

— Ja też go nieoskarżam, rzekł chorąży łagodniej, i niepotrzebnieś mój chłopce wziął tak do serca słowa moje; był to już może los taki nieszczęśliwy, a nie wina twego ojca, bo gdyby żyła twoja matka, nie doszłoby do tego z pewnością.

— Ale w każdym razie życie twojego ojca powinno być dla ciebie nauką, jak można zmarnować ten dar Boży bez pożytku dla siebie i dla drugich. Powtarzam, skoro pan Jazłowiecki stanął po stronie, która daży ku szkodzie kraju, to Bóg z nim, porzuć go, a znajdziesz zawsze jeszcze miejsce na świecie by się odznaczyć w służbie publicznej.

— Wierzcie mi, miły stryju, że w terażniejszej chwili nie mogę porzucić pana Jazłowieckiego, nieściagnąwszy na siebie zarzutu niewdzięczności i może jeszcze czegoś gorszego. Wszakże to niema jeszcze pół roku, jak za znieśienie czambułu tatarskiego koło Międzyborza, nadał mi stopień porucznika lekkiej chorągwi i to pomijając starszych ode mnie, którzy już oddawna na to dowództwo czekali. Wszyscy się też wydziwić nie mogli temu odznaczeniu, bo reszta rotmistrzów i oficerów, to wszystko ludzie, którzy długie lata uganiał się za Tatarem, nim się dosłużyli stopnia i jam pomiędzy nimi najmłodszy i wiekiem i zasługą. Mimo to starosta sniatyński wciąż daje mi dowody zaufania, powierzając różne trudne misye, które zazwyczaj oddają się doświadczeńszym ode mnie...—Zresztą nie bronię już wcale Zborowskich, ale czyż dla tego całą partycję, do której należą, uważać za szkodliwą? Czyż dla tego kandydat przez nich podawany do tronu ma być koniecznie gorszym od tego, którego popiera kanclerz? O, wierzcie mi stryju, i po naszej stronie są ludzie myślący o dobrze publicznem, nie mniej od tych, co chwyląc się głośno tem, że chcą zbawić kraj, prywatę mają jedynie na celu. A co do kandydatów, to sędzę że lepiej brać tam, gdzie nas proszą, niż gdy my prosić musimy, jakby łaskę nam czyniono. Rakuszanie są nam zresztą bliżsi niż szwedzi i lepiej mieć w nich sprzymierzeńców niż wrogów...

— Co mię waść będziesz uczył!—zawołał chorąży opryskliwie. Jaki mi polityk!—Wiedz o tem, że Zygmunt nie jest żaden Szwed tylko krew Jagiellonów, i że pokąd będę mógł tą ręką ruszyć, to nigdy nie dam głosu za Niemcem na elekcyi!

— Kochany stryju, to co mówiłem, nie wzięłem z własnej głowy, a usłyszałem od ludzi starszych i rozumnych.

— Już kiedy taki rozumny człowiek jak hetman życzy mieć królem Zygmunta, co w każdym razie ma więcej w głowie od wszystkich waszych Zborowskich, Górków...

— Nie odmawiam ja rozumu hetmanowi, ale pozwólcie, że jeszcze się znajdują tacy jak on, przerwał pan Jan.

— Kto?—zawołał popędliwie chorąży. Czy może ślepy Czarnkowski?

Górka, lub Jazłowiecki?

— A choćby i on?—odparł pan Jan urażony. Nie jest to polityk, prawda, ale dzielny mąż który w potrzebie potrafi nie gorzej od pana Zamojskiego strzedz granic kraju, i gdyby była jaka sprawiedliwość w Rzeczypospolitej tedy nie ominęła by go buława polna.

— Przestań już, niech nie słyszę podobnych bredni!—przerwał chorąży. I tego to człowieka, który odplacił największą niewdzięcznością za otrzymaną przysługę, śmiesz stawić na równi z hetmanem? Jego, któremu zazdrość kazała zapomnieć, że owo starostwo sniatyńskie zawdzięcza temu właśnie, na którego z taką zaciętkością napada teraz na sejmach!

— To wcale nie zazdrość,—odparł pan Jan, ale przekonanie, że takie zjednoczenie władzy w jednym ręku jest dla kraju niebezpiecznem. Starosta sniatyński złożył wszystkie swoje osobiste uczucia w ofierze przekonaniom.

— Dziecko jesteś, jeżeli wierzysz temu, alem ja stary wróbel, który się nie da złapać na plewę pięknych słówek, i wiem że to nie przekonania, a po prostu zazdrość dyktują mu one gwałtowne filipiki przeciwko hetmanowi.

— Dyktuje mu je obawa o bezpieczeństwo publiczne, bo czegoż nie może dokonać człowiek, którego powaga w kraju granic prawie niema. Niech pan Zamojski na czas bezkrólewia złoży buławę, a starosta sniatyński znów zostanie jego przyjacielem...

— Jezus Marya!—zawołał chorąży, chwytając się za głowę,—co ten chłopak wygaduje, to aż uszy boją!—Przewrócili mu już zupełnie w głowie ci Zborowscy! O, ta Zborowszczyzna, ta Zborowszczyzna, co ona już zlego narobiła w naszym rodzie! Ależ mój mędrku niedowarzony,—więc uważasz że pan Zamojski jest szkodliwym dla kraju, a tacy Zborowscy mają mu przynieść zbawienie?—Zastanów się sam, jakie niedorzeczności prawisz!

— Sędzę że wkrótce się pokaże, po czyjej stronie jest słusność—rzekł pan Jan z głębokim przekonaniem.

— I ja tak sędzę,—odrzekł chorąży. Ale mniejsza z tem; nie mogę cię przymuszać byś odstąpił partyi, którą uważasz za dobrą, lecz oświadczam ci tylko, że nie chcę mieć w mym rodzie więcej Zborowczyków i gdy za nie sobie ważysz przestrogi, pochodzące od opiekuna, który ci miejsce ojca zastępował, to odtąd między nami niema nic wspólnego. Wszystko co ci ojciec zostawił, oddam ci w całości i idź sobie w świat, skoro wasze już chcesz być mędrszym ode mnie starego!

Choć chorąży bardzo się starał wymówić te słowa tonem surowym, baczny jednak spostrzegacz byłby widział że wszystko to było powiedziane w nadziei, że synowiec da się nawrócić na właściwą drogę. Lecz nadzieja ta znikła, skoro pan Jan rzekł głosem smutnym, lecz pełnym postanowienia.

— Kochany stryju, nigdy nie zapomniałem com wam winien, ale też nie mogę postąpić wbrew przekonaniom, oraz okazać się niewdzięcznym względem starosty sniatyńskiego, odstępując go w najważniejszej chwili, po tytu z jego strony dowodach zaufania i dobroci. Zechciejcie więc mieć wzgląd na położenie, w jakim się znajduję...

— Dość tego!—przerwał chorąży porywczo. Więc waść odmawiasz?

— Jestem zmuszony...

Chorąży, widząc że go nadzieje zawiodły, wpadł w gniew tem większy, że kochał synowca i zły był na niego, że go opuszczał dla tej nienawistnej partyi. W tej chwili nienawidził Zborowskich bardziej niż kiedy; zerwał się też z miejsca, wołając.

— To już prawdziwe padnie nieszczęście na tę Rzeczpospolitą, jeżeli niedowarzone głowy nie będą słuchać starszych, lecz same zaczną się brać do polityki i gadać o swoich przekonaniach—Ale to już krew taka; ojciec był szaleńcem, co szukał po świecie czego nie zgubił, aż się związał ze zdrajcami, na hańbę swego rodu,—i syn wstępuje w jego ślady!

Na twarz pana Jana trysnęły płomienie, w oczach mignęła błyskawica,—zerwał się również z miejsca, mówiąc głosem przytłumionym i drżącym:

— Panie stryju,—możecie o mnie mówić co chcecie; że jestem szaleńcem, półgłówkiem,—głupcem wreszcie; ale o ojcu moim nie mówcie nic, przez liłość... bym nie zapomniał com wam winien, jako stryjowi i opiekunowi!...

— Waść się ośmielasz mówić do mnie w ten sposób?—zawołał chorąży. Więc już przestawanie ze Zborowskimi i ich stronnikami zrobiło cię do nich podobnym we wszystkim,—zapominasz nawet o czci należnej mnie, com ci ojca zastępował?

— Nie zapomniałem o tem, ale też nie zapominam i o tem, że obowiązkiem syna jest bronić pamięci ojca, gdy ją wciąż starają się oczernić w jego obecności! Na świecie dość jeszcze miejsca się znajduje, i, wedle woli waszej, nieprzestąpię już więcej progów domu, gdzie o ojcu moim w ten sposób się wyrażają.

— Oszałał, zupełnie oszałał!—mówił chorąży, chodząc po komnacie, wzburzony, podczas gdy pan Jan przepasywał szablę, zabierając się do odejścia.



— Niechże tych wszystkich Zborowskich, Górków i Jazłowieckich jasne pioruny zatrzasną! Kto się o nich otrze, zaraz głupiej! Zdrajcy, rozbójnicy, warchoły! Przepadnie Rzeczpospolita z kretešem, bo zdrajcy w niej rządzą a głupcy niedowarzone słuchają ich, jakby im co mądrego wymyśli!

A nie mając na kim złości spędzić, obrócił się nagle do synowca i zawołał w największym ferworze:

— Ten waścin Jazłowiecki, to nic więcej jak wichrzyciel i zdrajca i pan Zamojski w palcu ma więcej rozumu niż on w całej głowie.

— Obaczmy dokąd go zaprowadzi ten przechwalony rozum,—odrzekł pan Jan,—nie widzę go dotąd w niczem, chyba w tem, że bojąc się Zborowskich na konwokację nie przybył; rzeczywiście w tem rozumnie postąpił, lecz niezbyt po Rycersku.

— Cy, waś się ośmielasz ubliżać w moim domu mężowi przez cały kraj szanowanemu?—zawołał chorąży w najwyższym gniewie.—A więc, jeżeli tak, to wszystko między nami skończone. Odtąd żeby noga waści nie postąpiła na moim progu! obcy jesteśmy dla siebie zupełnie!

Magdzia, usłyszawszy te słowa z drugiego pokoju, nie mogła wytrzymać dłużej, wbiegła z łzami do komnaty:

— Tatuńciu! — zawołała, całując rękę ojca. Lecz ten krzyknął:

— Waćpanna po coś tu przyszła? Nie masz co płakać mi tutaj—i tobie również oświadczam, że ten panicz, który oto stoi tutaj, od dziś jest zupełnie obcym dla ciebie! Rozumiesz?

— O, nie, nie!—zawołała Magdzia ze łzami.

— Tak, bo ja każe!—krzyknął chorąży.—Co to, wszyscy mi zaczniecie się rządzić jak szare gęsi? i w domu ma być to samo co w Rzeczypospolitej? Ruszaj mi waćpanna do swego pokoju i pamiętaj o tem, com powiedział!

Magdzia z płaczem wybiegła z komnaty.

Pan Jan, który się nie ruszył z miejsca, aż do jej wyjścia, obrócił się teraz do chorążego, który stał przy oknie, nie patrząc nań:

— Niech wam Bóg wynagrodzi, panie stryju, za wszystko coście kiedy czynili dla mnie,—rzekł po chwili, jakby gwałtem wyrывая się z zamyślenia,—ja zaś wiecznie w sercu zachowam wdzięczność dla was, jakiegokolwiek byłyby odtąd wasze uczucia dla mnie. Bądźcie zdrowi.

Chorąży nie ruszył się z miejsca i nie obrócił nawet głowy w jego stronę. Spojrzał więc jeszcze w kierunku ściany, gdzie nad łóżem chorążego wisiał portret jego zmarłej żony: z ram partryło oblicze piękne, pełne dostojnej jakiejś słodyczy, o łagodnym, szafrowem oku.

Wzrok młodzieńca zatrzymał się czas jakiś jeszcze na tej twarzy, jakgdyby ją żegnał, poczem wyszedł z komnaty, tłumiąc westchnienie.

Lecz zaledwie jego kroki ścichły, kiedy chorąży rzucił się ku drzwiom jakby chciał go zatrzymać; stanął jednak nagle, mruknawszy pod wąsem:

— Cóż to? Ja mam go przepraszać? Niech idzie, skoro mu Jazłowiecki miłszy nad rodzinę własną!

Pan Jan opuścił komnatę chorążego z podniesioną dumnie głową, lecz gdy wyszedłszy na podwórze obejrzał się dokoła, gdy spojrzął na ten dom stary, którego wszystkie kąty tak znane mu były i miłe; a które miał teraz opuścić na zawsze, westchnął mimowoli i zwolnił kroku.

Zmierzając w stronę stajni, gdzie służba, według zwyczaju zaprowadziła już konie, ujrzał w pobliżu towarzyszącego mu luzaka i rozkazał mu natychmiast siodłać konie.

— Panie poruczniku, — rzekł luzak, — zapomnieliście chyba, ile drogi dziś zrobiły te biedne koniska. Toż one nic jeszcze nie jadły i nie poilem ich, bo były zgrzane.

— Nic nie pomoże, musimy jechać.

— Myślałem, że tu na dłuższą kwatere staniem,—rzekł luzak z żalem.—A szkoda, dobrzeby było przebyć kilka dni w tym dworze. No, ale jak trzeba, to trzeba!

Gdy pan Jan, zamyślony, powracał przez podwórze, usłyszał nagle, że ktoś zapukał w okno. Drgnął i obejrzał się: było to okno od pokoiku

Magdzi. Stał, nie wiedząc co czynić, gdy usłyszał znów jak otwierano drugie okno, wychodzące do sadu i głos tłumiony zawołał:

„Janku!”

Otworzył furtkę i wszedł do sadu. Zmrok już zapadał i pomiędzy drzewami słały się głębokie cienie, lecz podniósłszy oczy na okno, ujrzał w niem Magdzię, która stała wychylona przez framugę. Chociaż okno było dość wysoko nad ziemią, jednakże można było swobodnie rozmawiać. Pan Jan stanął w milczeniu.

— Pięknie, bardzo pięknie, — zawołała Magdzia półgłosem, — chciałeś odjechać, nie pożegnawszy się z nikim.

— Nie miałem na to pozwolenia, — odrzekł z goryczą, — czyś nie słyszała, że odtąd mamy być zupełnie obcy dla siebie? Nie wolno nam nawet nazywać się siostrą i bratem.

— Jakże nie słyszałam? Wszak dobrą przysługą dostałam reprimendę od tatuńcia. Jak krzyknął, to aż szyby w oknach zabrzęczały, i choćbym nawet była głucha, jak stara Kaziemierzowa, to i wtedybym pewnie usłyszała! — zawołała Magdzia ze śmiechem.

— Przepraszam cię, siostrzyczko, że za mnie dostałaś połajanie, ale już więcej nie narażę cię na to,—rzekł pan Jan smutno.—Nigdy nie zapomnę o twem dobrem sercu i zawsze ci będę wdzięcznym, żeś chciała przebłagać za mnie gniew ojca, sama się na niego wystawiając.

— Ty, bo naprawdę bierzesz ten gniew za coś tak strasznego;—gdybym ja na to chciała uważać—mój Boże miły, tożbym chyba dziesięć razy na dzień płakała. Ale ja wiem, że tatuńcio dobry i choć czasem zbурczy, to wpół godziny potem zawoła i popieści. My już tutaj wszyscy przywykli do tego.

— Więc i takie przyjęcie jakiego dziś doznałem, jest u was rzeczą zwyczajną?—spytał z goryczą.—Może byś i o tem chciała mię przekonać?

— Nie powiem, żeby była zwyczajna, ale pozwól sobie powiedzieć, mój Janku, że i ty nie byłeś bez winy.

— Tak, tak, cała wina była po mojej stronie, wiem o tem!

— Nie mówię tego, ale była tam i twoja wina, nie możesz temu zaprzeczyć.

— Ależ wcale nawet zaprzeczać nie myślę,—odrzekł pan Jan z jednaką wciąż goryczą.—Jakież więc są te moje winy, czy nie chciałabyś ich wyliczyć?

— Czemu nie? — rzekła Magdzia z uśmiechem.—Naprzód powiem ci, że byłeś zbyt porywczym...

— Na Boga, więc to ja byłem porywczym, kiedy starałem się nawet zadając gwałt mej naturze, tłumaczyć się z największym spokojem i oględnością. Nie, tego już za dużo!

— Jeśli starzec trochę gorący, o którym wszyscy wiedzą, że jest najzacniejszym z ludzi, uniósł się, to niepownienes był się obruszać, wiedząc, że u niego gniew przemija, jak przyszedł, i wkrótce sam będzie tego żałować, — odrzekła Magdzia poważnie.

— Więc dobrze, byłem porywczym, gwałtownym,—coż dalej? W czym zawiniłem jeszcze? Magdzia milczała.

— Cóż dalej? pytam,—powtórzył gniewnie.—Mów, niech wiem przynajmniej o co mię obwiniasz? O, byłem przygotowany na to, że wszyscy mię potępia, nawet i ty! Widzę, że niezbyt długiego czasu potrzeba będzie, abym naprawdę stał się obcym tutaj!...

— Janku, jaki ty jesteś niedobry dzisiaj! — zawołała na wpół z płaczem Magdzia,—to co ci mówiłam szczerze, jako siostra bratu, bierzesz za dowód, że cię nikt nie kocha!

— Daruj mi, moja Magdziu,—rzekł już zmiękły nieco pan Jan,—sam widzę, że niesłusznie cię dotknąłem, ale byłem poruszony doznana dziś niesprawiedliwością.

— Więc dlaczegóż jesteś niesprawiedliwym dla innych?

— Widzisz, niesprawiedliwość rodzi niesprawiedliwość i mimowoli gorzkie słowa cisną się na usta. Cokolwiek byś mówiła, wiem, iż nie zasłużyłem na podobne obejście się. Gdyby to

z rodzonym ojcem była sprawa, jestem pewny, że byłby zrozumiał, że niepodobna mi w tak ważnej chwili opuścić starostę sniatyńskiego i to po tylu dowodach zaufania z jego strony.

— Twoje rozdrażnienie obecne nie daje ci w tej chwili jasno sądzić o rzeczach,—przerwała Magdzia,—bo gdybyś się zastanowił, to znając naturę ojca, uznałbyś, że nie postąpiłby inaczej z własnym synem; wiesz, że nie robi różnicy między wami dwoma i pewna jestem nawet, że w tym razie byłby nawet surowszy dla rodzonego syna.

— Dobrze więc, przyznaję, może masz słuszność w tem co się mnie dotyczy,—rzekł młodzieniec po chwili namysłu.—Ale nie usprawiedliwia go to z zarzutów, czynionych pamięci mojego ojca, jakiegokolwiek było jego życie. Byli w niem błędy, śmierć powinna go uwolnić od oskarżeń i przystało, by już umilkły wreszcie. I dlatego to odezwałem się z taką goryczą przed chwilą, choć nie ty zawiniłaś, a przeciwnie, dobrą jesteś jak zawsze i nie zapomnę nigdy, że ty jedna odezwałaś się do mnie z dawnym sercem. Rozstaniemy się na długo, może na zawsze, rozstańmyż się, nie czyniąc sobie żadnych wyrzutów.

— A ja mam nadzieję, że nie na zawsze się rozstajemy,—rzekła Magdzia, uśmiechając się przez łzy, jestem nawet pewną tego.

— Może być, że się za kilka lat spotkamy z sobą; chciałbym tego, bo jesteś dobrą i serce masz takie jak twoja matka, którą cześć jak świętą.

— A jeżeli ja się założę z tobą, że się bardzo prędko zobaczymy z sobą? — rzekła Magdzia.—O, panie poruczniku, nie wstrząśnij głową z takim niedowierzaniem, obaczysz, że wygram!

— Być może, moja mała Magdziu,—rzekł pan Jan z westchnieniem.

— Wcale nie mała,—przerwała urażona;—przed Bożem Narodzeniem kończę już lat siedemnaście, proszę pana porucznika o tem nie zapominać! No, rozpogódź-że się,—dodała, widząc, że wszystkie jej żarty nie zdołały wywołać uśmiechu na jego twarzy,—ja nie chcę żebyś był smutny...

— Cóż robić, moja Magdziu; trudno się śmiać, gdy na duszy niewesoło... Ot, właśnie w tej chwili myślałem sobie, że gdy pójdę w świat szeroki, nie znajdę już nigdy drugiej takiej przyjaźni, nie znajdę drugiej Magdzi!... Znow rozpocznie się życie takie jak za pierwszych lat dzieciństwa, zanim wyście mię przygarnęli a nadto gorsze jeszcze, bo i ojciec już nie żyje,—i nie mam nikogo na świecie.

Magdzia miała przedtem najszczerzą chęć go wyłajać, teraz jednak uczuła nagle, że serce jej ścisnął taki żal nad nim, że nie mogła powstrzymać łez, które dotąd gwałtem chciała ukryć pod powiekami.

— Nie mam nikogo na świecie!—te słowa żałośnie dźwięczały w jej duszy a myśl, że jej biedny, kochany chłopak ma się rzucić samotny i odtracony od wszystkich w ten świat szeroki i zimny, napełniała ją smutkiem bezmiernym. Wychyliła się przez okno, wyciągając swą małą rączkę, która spoczęła na silnej dłoni brata, jakby na dowód, że jest jeszcze ktoś, co o nim myśli i współczuje mu zawsze. On zrozumiał to dobrze, bo ujął tę rączkę i ścisnął w niemem wzruszeniu.

— Magduś! — dał się słyszeć głos w głębi domu.

— Tatuńcio!—szepnęła Magdzia i jak ptaszek frunęła od okna.

— Bądź zdrowa, moja dobra siostrzyczko, — niech cię Bóg strzeże,—rzekł półgłosem pan Jan i znikł wśród cieni zapadającego mroku.

Magdzia poskoczyła ku nadchodzącemu ojcu, który objął ją i zapytał pieścizotliwie, gładząc ją po głowie:

— Cóż moja dziewczeczka robi tu sama w ciemnej komnacie?

— Nic, tatuńciu, tak sobie siedziałam i myślałam, — odrzekła Magdzia, całując jego rękę. Do ucha jej tymczasem doszedł tentent oddalających się koni.

(Dalszy ciąg nastąpi)



# Z RZYMU.

Dnia 15 Stycznia.

Przebrzmiało już echo uroczystości świątecznych; w dniach tych silniej, niż kiedykolwiek indziej, objawia się tu poczucie religijności, które zastąpiło panujące jeszcze do niedawna o całej Europie pojęcia materialistyczne. W ślad za tem przebudzeniem się uczuć religijnych postępuje miłość względem bliźniego i miłosierdzie.

W sercu obcego przybysza, przypatrującego się z uwagą obrazowi społecznego życia tutajszego, w którym niema ani jednego miejsca pogodniejszego, mimowoli żal się rodzi i głębokie współczucie dla tego znakomitego narodu, z którym nie można nie sympatyzować, tyle bowiem posiada przepięknych cech w swoim charakterze. A cechy te szlachetne występują najwyraźniej podczas uroczystości świątecznych, w dniach ogólnej wesołości. W dniach tych polityczne intrzygi, plutokratyczne skandale ustępują miejsca najszlachetniejszej stronie natury ludzkiej, milknie panowanie kłamstwa i gwałtu i nad całym krajem powiewa wysoko sztandar miłosierdzia. Włosi naród biedny, bardzo biedny, — wszak rzecz to znana ogólnie, — a mimo to z jaką gotowością składali ofiary na biednych, ażeby radość dni tych i oni podzielić mogli.

Prócz całego szeregu towarzystw filantropijnych, wysyłających wagony tramwajowe dla zbierania datków pieniężnych i ofiar *in natura* ważną rolę w tym akcie miłosierdzia odegrała również prasa miejscowa nawołując w gorących słowach do składania ofiar i dając pośrednictwo swoje w tym kierunku. Dziennik „*Dou Chisciotte*“ np. zebrał 2,000 fr., przyczem godna zaznaczenia ta okoliczność, że 95 procent ofiarodawców wyraziło życzenie, by nazwisk ich nie ogłaszano. Czyż potrzeba lepszego dowodu na stwierdzenie tego, że nadsyłający datki swoje do pisma, ogólnie czytanego i poważanego, miłosierdzie jedynie mieli na celu i w myśl słów pisma świętego chcieli, by nie wiedziała lewica, co daje prawica.

W akcie tego ogólnego miłosierdzia odznaczył się szczególnie Medyolan, co zaznaczyła królowa w noworocznym przemówieniu swem do jednej z deputacji lombardzkich. Radykalny „*Secolo*“ zebrał dla swej „*choinki*“, albo jak ją tu nazywają „*albero di Natale*“ (Bożego drzewka) około 20 tysięcy franków, a nadto całą masę najrozmaitszych przedmiotów, począwszy od wina i produktów spożywczych, a skończywszy na ubraniu i obuwiu. Fundusz ten posłużył do urządzenia uczy dla ubogich, całego Medyolanu, złożonej z mięsa, owoców i wina. Inne pisma zebrały sumy mniejsze wprawdzie zawsze jednak dość okazałe. I to wszystko jest, nienależy zapominać, dziełem prasy antyklerykalnej, można mieć więc pojęcie, co w tym kierunku zdziałać mogła i zdziałała prasa konserwatywna. Medyolan należy wprawdzie do najbardziej przemysłowych i najbogatszych miast włoskich, mieszkańcy jego odznaczają się energią, przedsiębiorczością i dostatkiem; nie dały się jednak w tym akcie miłosierdzia wyprzedzić inne miasta półwyspu i wszystkie w miarę środków dorzuciły swój grosz do ogólnego kosza ofiarnego.

Rzym posiada mnóstwo szkół bezpłatnych utrzymywanych bądź przez bractwa religijne bądź przez osoby prywatne i subwencyonowanych przez gminę. Szkoły te zarządzają „*Boże drzewka*“, loterye, rozrywki z muzyką i rozmaitego innego rodzaju uroczystości, które dają wielu ubogim dzieciom rzadką sposobność zjedzenia raz choćby przyzwoitego obiadu. Mówimy „*wielu*“, a nie „*wszystkim*“, ulice miasta bowiem przepelnione są mimo to całemi zgromadzeniami młodszych i starszych żebraków, niedających spokoju przechodniom. Bo i jakże tu nie dać jałmużny oberwanemu dzieciakowi, witającemu cię z uśmiechem na bladej twarzyczce słowami: „*buone feste, signore! buon anno, signore!*“

Powstało tu niedawno w sferach arystokracji miejscowej towarzystwo przeciwżebraczy, dotychczas jednak nic nie słyhać o działalności tej instytucji. A uliczni ci żebracy nie stanowią nędzy prawdziwej, tych na żebrzy wygania lenistwo i niechęć do pracy. Prawdziwe ubóstwo, prawdziwych nędzarzy poznać dopiero można z kroniki dziennika „*Messagere*“ i to wtedy dopiero, gdy po wyczerpaniu wszelkich środków ratunku pokuszają się w końcu na życie własne. Niema dnia, w którymby kronika tego pisma nie zarejestrowała wypadku samobójstwa; a przyczyną wszystkich niemal tych wypadków są oplakane stosunki materialne lub nawet nędza ostateczna.

Podczas świąt ubiegłych odbył się w miejscowym instytucie dla ociemniałych przy klasztorze S. Alessio koncert wychowawców zakładu, połączony z wystawą robót wykonanych przez pensjonarki. Instytut ten założony w r. 1868 zawdzięcza powstanie swoje Papięzowi Piusowi IX. Licznie zgromadzona na uroczystość tę publiczność miała sposobność zachwycić się pięknymi robotami szydełkowymi, artystycznie wykonanymi rzeźbami z drzewa i t. p.

Na popis złożyło się czytanie specjalnych książek, rozwiązywanie zagadnień arytmetycznych przy pomocy gwoździ wbijanych w deszczułkę, a nawet pisanie całych zdań przy pomocy specjalnego urządzenia. W ubiegłym roku pewne grono pań ze sfer arystokratycznych ofiarowało zakładowi bogaty księgozbiór, który umożliwił biednym wychowawcom zapoznanie się z wybitniejszymi utworami literatury ojczystej. W ten sposób przyczyniły się szlachetne ofiarodawczynie do rozjaśnienia choć w części strasznej nocy, która otacza tych nieszczęśliwych.

Lokale zakładu przeznaczone na sale szkolne, jadalne, sypialne odznaczają się wszystkie wzorowym porządkiem i czystością; na każdym kroku widoczna jest chęć osłodzenia choć trochę smutnej doli tych nieszczęśliwych. Na ścianach porozwieszane ogłoszenia drukowane, w których zarząd zakładu uprasza odwiedzających, by z wychowawcami nie mówili o dotyczącym ich kalectwie. Duże oszklone szafy mieszczą folianty nut do użytku ociemniałych. Wychowawcy uczą się przeważnie muzyki, wychowawice w części muzyki, przeważnie jednak rzemiosł.

Koncert, dany przez ociemniałych, zadowolił mógł najwybredniejsze nawet wymagania; gdyby nie widok wykonawców, myślałbyś, że słyszysz doskonale wyszkolony popis artystów.

Orkiestra składa się z 40 członków, w tej liczbie 5 dziewcząt. Kapelmistrz, ociemniały również, dyrygował orkiestrą przy pomocy pałeczki, którą uderzał w stojący obok siebie pulpit.

Ażeby grać tak dobrze na pamięć i nie pomylić się ani razu, na to trzeba rzeczywiście wielkiego zasobu muzykalności, i żaden chyba inny naród nie mógłby na tem polu rywalizować z włoskim.

Z okien zakładu roztacza się wspaniały widok na cały Rzym i okolice; ci nieszczęśliwi nie mogą jednak zachwycić się temi pięknosciami natury.

Z początku żal ścisła serce na widok tych bezradnych stworzeń, przechadzających się z wyciągniętymi przed siebie rękoma, zwolne jednak uczucie żalu ustępuje miejsce uczuciu głębokiej wdzięczności względem tych, którzy oddali usługi swoje na naukę ociemniałych.

W Rzymie są również dwa zakłady dla głuchoniemych, których wychowanie w ostatnich czasach znaczne zrobiło postępy. Miasto posiada wogóle bardzo wielką ilość instytucji filantropijnych, nie we wszystkich jednak panuje pożądaný ład i porządek.

W ubiegłym roku wiele hałasu wywołały nieporządki, odkryte w zakładzie dla podrzutek w Neapolu, gdzie „*dzieci Madonny*“, jak lud popolicie nazywa podrzutek, wyprawiano w sposób bardzo prymitywny do nieba.

W Rzymie są szkoły bezpłatne, z całem utrzymaniem, ogrody dziecinne, tak nazwane „*edukatorya*“ (instytucje wychowawcze), w których

dzieci przepędzają czas wolny od zajęć szkolnych, są ochronki dla dzieci i dla dorosłych, szpitale i apteki, w których biedni otrzymują bezpłatnie poradę lekarską i lekarstwa i t. d. I dopiero w ostatnich czasach zwrócono czynność filantropijną w tym kierunku, ażeby zamiast tego wszystkiego dawać ubogim rzeczy najniezbędniejsze, a mianowicie chleb i mięso. Ciekawe słowa w tej kwestyi wypowiedział adwokat Cuchhari na bankiecie kupców produktów spożywczych: „*Wy ochraniacie naród przed adwokatami i lekarzami: jeżeli żywność jest dobra, człowiek jest zdrow i mniej ma ochoty do włożenia się po sądach.*“ Mówca wypowiedział tu prawdę istotną. Adwokatów i lekarzy jest we Włoszech rzeczywiście stosunkowo za dużo. We dwa te zawody naród włoski obfituje bardzo, gdy tymczasem brak mu najniezbędniejszych potrzeb.

Od pewnego czasu toczy się tu agitacja celem dostarczenia młodzieży szkolnej śniadań przed pójściem do szkoły; agitacja ta nie wydała jednak niestety, jak dotąd, pożądaných rezultatów. W zarządzie miejskim w Rzymie poruszano już niejednokrotnie tę kwestyę, większość jednak nie chce „*uszczerbku*“ kasy miejskiej. „*Jakto!*“ — mówi mniejszość — „*dajecie rocznie 20,000 lirów subwencji teatrowi „Argentina*“, straciliście już na ten cel 80,000 lirów, a czyż nie byłoby lepiej użyć pieniędzy tych na bezpłatne śniadania dla młodzieży szkolnej? Dotąd jednak głos mniejszości jest głosem wołającym na puszczy. Włosi — to naród bardzo lekkomyślny. Po wsiach nawet nie żałują pieniędzy na orkiestrę gminną, a brak ich na rzeczy najniezbędniejsze. Lecz i w tej sprawie tak jak w wielu innych dobry przykład działa zaraźliwie i można mieć nadzieję, że będzie lepiej. W Parmie zarząd miejski uchwalił wnieść do budżetu 10,000 lirów rocznie na śniadanie bezpłatne dla młodzieży szkolnej. Większość rady miejskiej tamtejszej, to ludzie ubodzy i mieli sposobność praktycznie nieraz przekonać się o prawdziwości przysłowia, że „*głodnemu chleb na myśli.*“

Bogaci nie mogą zgoła pojąć, by było wogóle rzeczą możebną na tym świecie iść bez śniadania do szkoły; to też zawsze myślą więcej o teatrach i innych uroczystościach.

Karnawał w Rzymie znajduje się obecnie w całej pełni; pisma miejscowe codziennie niemal przynoszą opis uroczystości karnawałowych odbywających się w salonach arystokracji miejscowej. Spodziewane są również wielkie recepcje w czterech ambasadach, a mianowicie niemieckiej, rosyjskiej, hiszpańskiej i amerykańskiej. Wielkie zainteresowanie budzi również wielki bal zapowiedziany przez ks. Colonna i wieczór tańczący u księżnej Lancelotti.

Dla rodaków nowych nieobojętną zapewne będzie wiadomość, iż w *Café Grece Antico* na *via Condotti* za przybyciem do Rzymu znalazła pisma polskie. Tutejsza kolonia polska założyła tam swoją czytelnię. Kawiarnia *Greco Antico* należy do najstarszych w mieście i obchodziła w roku ubiegłym stuletni jubileusz swego istnienia.

*Ig. Dąb.*

FERDYNAND HOESICK.

## Kartka z podróży \*).

...O godzinie 11-ej ujrzelismy jakies skaliste wybrzeża, wychylające się z za horyzontu. „Cóż to za wyspa?“ zapytałem kapitana. „To wyspy Bolearskie, odrzekł, ta zaś, którą widzimy w tej

\* Jest to epilog „obrazów i nastrojów“, któreśmy w roku zeszłym p. t. „Na morzu“ drukowali w naszym piśmie. *Redakcja*



chwili, to Majorca.“ Wystarczyło mi usłyszeć jej nazwę, ażeby mi się w temże mgnieniu oka przypomniał Chopin... A więc zbliżyliśmy się do miejsca, gdzie ten genialny poeta-muzyk spędził zimę roku 1839 w towarzystwie pani Sand., gdzie powstały jego Preludia i Sonata z marszem żałobnym. Tutaj, w ustronnym klasztorze Kartuzów, ten niezapomniany czarodziej muzyki fortepianowej, który w najprozaiczniejszy ze wszystkich instrumentów — w cymbalkowaty fortepian — zaklął najsubtelniejszą poezję tonów, spędził kilka miesięcy, tutaj cierpiał i tworzył.

Na myśl o tem, że oto płynę tem samem morzem, na które i on patrzył razem ze swą ekscentryczną *femme à l'oeil sombre*, że oto niebawem ujrzę te skały i pomarańczowe gaje, które słuchały muzyki Chopina, byłem wzruszony i rozmarzony, a w uszach mi brzmiało melancholijne i już chorobliwe trochę Preludium *Des-dur*, napisane tutaj, a natchnione „deszczem jednostajnym, doprowadzającym do rozpacz, spadającym na okno z dachu kroplami w równych odstępach.“

Ztąd, kiedyśmy zasiedli do śniadania — na które panu Stone podano talerz kleiku — zaraz wszcząłem rozmowę o Chopinie i pani Sand., o ich pobycie na Majorce, słowem, o tem wszystkie, co w pięknym Szkicu prof. St. Tarnowskiego jest opisane w ten sposób: „Chopin był tak chory, że ledwie mógł się zwlec z łóżka do fortepianu i naodwrot. Chciał sobie sprowadzić z Marsylii piec i fortepian, dostał je ledwo po nieskończonych zwłokach i trudnościach, bo władze i mieszkańcy miasta Palma, wzięli jedno i drugie za maszyny piekielne, sprowadzone na to, żeby wysadzić miasto w powietrze. Zrazu zamieszkało w jakiejś wsi czy miasteczku, ale niebawem wypędzono ztamtąd Chopina. Choroba piersiowa uchoodzi na Majorce za tak zaraźliwą, jak cholera i dżuma, i nikt nie chciał znośić chorego w swoim domu ani nawet w bliskości. Przytułek znalazł się ledwo w oddalonym, a świeżo przez mnichów opuszczonym klasztorze Kartuzów, nazwiskiem Valdemosa. Klasztor ten stał wprawdzie nad uroczym wąwozem, zarosłym pomarańczowemi drzewami, ale w największej niewygodzie, w braku wszystkiego, prócz starań, zdrowie Chopina nie mogło się polepszyć. Do tego zima była okropna: czterdzieści dni deszczu bez przerwy, a niekiedy śnieg; stan chorego zdawał się tak rozpaczliwym, że wątpiono, czy powróci do Francji. A jednak i tu, i w takim stanie zdrowia, komponował. W tym klasztorze powstała większa część preludiów...“

Kiedyśmy po śniadaniu wyszli na pokład, jużśmy byli tak blisko Majorki, że widzieliśmy nietylko pojedyncze wzgórza wyspy, skaliste po jednej, a bujną zielonością pokryte po drugiej stronie, ale rozróżnialiśmy nawet jasne domy i czerwone dachy jakiegoś miasta, które, oświetlone słońcem południowym, dość jaskrawo bielilo się nad samem morzem, pośrodku istnych ogrodów zieleni. „To Palma!“ rzekł kapitan, a mnie wystarczało usłyszeć prostą nazwę tego miasta, ażeby mi serce zabiło żywiej. „A więc to tu...“ wyszeptalem w myśli, i nie brakło wiele, a zdjąłbym kapelusz, ażeby się temu miastu przypatrywać z odsłonią głową. Tymczasem nasz dzielny kapitan — w chęci przypodobania się pani Stone — przyniósł lunetę, przez którą po kolei przyglądaliśmy się Palmie. Widzieliśmy pojedyncze domy nad brzegiem, cały szereg żaglowych łodzi w porcie, parę okrętów o trzech masztach, jeden parowiec, wieże kościelne, etc., etc., aż do mew, które fruwały w porcie; ale niedługo mogliśmy przypatrywać się temu widokowi, bo okręt nasz opływał wyspę z przeciwnej strony, tak, że po chwili Palma skryła się jakimś skalistym przylądkiem.

W pięć minut później, uprzedzając prośby kapitana i pani Stone, siedziałem przy fortepianie, a w pustej sali, w której z początku nie było nikogo prócz mnie, rozbrzmiewało Preludium *Des-Dur*. Po chwili zjawiły się panienki, za niemi przyszła pani Stone z kapitanem, potem zjawił się dziobaty doktor, a po nim przyszło jeszcze

kilka osób. Przyszli posłuchać. A ja grałem Preludia Chopina, jedne po drugich. Zdaje się, że nigdy nie byłem nastrojony lepiej, ażeby grać te przerzeczne poemaciki fortepianowe, tak poetyczne i chorobliwe zarazem, a poprostu denerwujące swoją melancholią, swoim nieziemskim spleenem. Jakoż zdaje się, że je grałem dobrze, bo po każdym dostawałem brawo... W końcu zacząłem grać marsza pogrzebowego, którego — jak to nieomieszkałem powiedzieć moim słuchaczom — Chopin skomponował także na Majorce, prawdopodobnie w przewidywaniu własnej śmierci, której tu zdawał się tak bliski.

Kiedym skończył grać tego marsza, po którym mię oklaskano jeszcze goręcej, niż po Preludiach, podszedł do mnie ów jegomość, o którym powiedziałem już, że dzięki swemu dobremu humorowi i ciągłym konceptom, mniej lub więcej dowcipnym, zwracał na siebie powszechną uwagę przy stole, i zaczął mi *à propos* mojej interpretacji tego marsza żałobnego prawie trochę przesadne komplementy. Zażenowany temi wygórowanemi pochwałami, skłoniłem się memu przygodnemu komplementowi, na co on, jakby się domyślając, że nie wielką wagę przywiązuję do jego pochlebnego sądu o mej muzyce, oświadczył mi — po francusku oczywiście — co następuje: „Niech pan nie lekceważy mojej opinii, gdy chodzi o wykonanie *de la marche funèbre de Chopin*. Ten marsz to moja specjalność.“ „A to jakim sposobem?“ zapytałem, trochę zdziwiony tem oświadczeniem. W odpowiedzi na to pytanie, mój jegomość, uśmiechając się, sięgnął po pugilares, a wyjąwszy zeń kilka biletów wizytowych, pierwszy ofiarował mnie, drugi pani Stone, trzeci kapitanowi, aż w końcu rozdał wszystkie. Spojrzawszy na bilet, wyczytałem na nim, co następuje:

*Henri Engelmann Directeur des pompes funèbres Oran.* Oczywiście, że przeczytawszy te słowa, domyśliłem się odrazu, dlaczego p. Engelmann był specjalistą od marsza pogrzebowego. O ironio! Więć ten facecyonista, który się ciągle śmiał i rozśmieszał innych, który co moment wyrwał się z dowcipem lub anegdotą, i którego pogodne jowialne usposobienie rozweselało wszystkich, ten wesoły, różowy i dobrze odpasiony *farceur*, którego usta i oczy ciągle wyrażały uśmiechnięty optymizm i niezmaconą pogodę ducha, ten człowiek był dyrektorem *des pompes funèbres*, przedsiębiorcą pogrzebowym, właścicielem zakładu pogrzebowego, składu trumien, remizy karawanów, etc. etc. I ten człowiek, który codzień przewodniczył najsmutniejszemu obrzędowi, jaki jest w życiu ludzkim, który codzień patrzył na umarłych, był świadkiem ich składania do trumny, patrzył na rozpacz krewnych, słuchał płaczu matek, mężów, żon, dzieci, braci i sióstr, ten człowiek był taki wesoły!!! Nie, zaprawdę, że różne rzeczy dzieją się na ziemi, o których się nie śniło naszym filozofom!

Nie zapomnę jednego dowcipu p. Engelmanna, który aż do samej Marsylii był naszym Yoricciem okrętowym, dowcipu, który był tem klasyczniejszy, że był powiedziany prawie bez myśli o rozśmieszeniu nas. Skorośmy wiedzieli, kim jest p. Engelmann, nie dziw więc, że w rozmowie z nim raz po raz potraçało się o tak niewesołe tematy, jak pogrzeby, śmiertelność, etc. Otóż raz, a było to przy podwieczorku, zgadało się o kosztach pogrzebowych, o wygórowanej cenie pogrzebów w ogóle, zwłaszcza takich, na których się chce mieć i muzykę, i pochodnie, i karawan nie byle jaki, i pióropusze na łbach końskich, i osobny wóz z wieńcami. „No, ileż taki pogrzeb kosztuje np. u pana?“ — zapytał się kapitan Marinelli. „Taki pogrzeb, odrzekł, nie namyślając się długo, p. Engelmann. Taki pogrzeb, hm. No, jeżeli pan zapłaci 6,000 franków, to już możesz pan mieć *quelque chose de très coquet*...“ Jego własne słowa, które są tak charakterystyczne w ustach takiego człowieka, że nie poważylm się ich nawet przetłomaczyć. Uważam, że taki dokument powinien być przytoczony w oryginale.

I tak płynęły godziny, aż w końcu, z nadejściem 48-iej od chwili naszego wyjazdu z Oranu, dopływalismy do Marsylii.

Była godzina 4-ta po południu. Staliśmy na pomoście kapitana. Okręt płynął bardzo powoli, bo kapitanowi zależało na tem, ażeby nie przybyć za wcześnie. Przed nami, zajmując całą połowę widnokregu, rysowały się faliste brzegi Europy, brzegi Francji, owiane mgłą oddalenia. Ku tym wybrzeżom płynęliśmy pod prostym kątem. Morze było spokojne, gładkie zupełnie, koloru polerowanej stali. W powietrzu unosiły się mgliste wyziewy wodne, przez które słońce przeświecało z trudnością, a niebo, choć czyste, było szare jakies, wypłowie, senne. Było ciepło i duszno, najłżejszy wiatr nie orzeźwiał ciężkiej atmosfery. Mimowoli myślałem o *Ciszy morskiej*, tak wspaniale opisanej w jednym z *Sonetów Krymskich*...

Ale myślałem nietylko o Sonetach Mickiewicza, bo tam, gdzie w oczy rzuca się rzeczywistość, tam literatura musi ustąpić na drugi plan. A mnie rzeczywistość rzucała się w oczy przedewszystkiem. Oto za niecałą godzinę mieliśmy wylądować w Marsylii, oto się kończyła nasza kilkudniowa podróż morska, a myśl o tem, że się ta podróż odbyła szczęśliwie, nie mogła być obojętną. Z drugiej strony z niemałą przyjemnością myślałem o blizkim kresie tego wojażu, bo choć była to jedna z moich piękniejszych podróży, to jednak i najpiękniejsza nuży w końcu. To też i ja byłem znużony ostatecznie. Zwłaszcza ostatnie dwa dni jazdy bez przerwy, jazdy, której jedyną oazą i rozmaitością było mijanie Majorki, były nużące. Bo nie da się zaprzeczyć, że takie dwa dni spędzone na pełnem morzu, dwa dni, w ciągu których, oprócz okrętu i garstki pasażerów, nie widzi się nic, tylko szafirowe morze i turkusowe niebo, że takie dwa dni nużą swą jednostajnością. Może by nie nużyły tak, gdyby morze było niespokojne, a po niebie ciągnęły chmury; ale ten niesplamiony błękit nieba, połączony z gładkim sennym szafirowym morzem, jest nużącym, bo zaczyna nudzić, zaczyna robić wrażenie symbolu nudy. Po kilku godzinach zaczyna się pożądać jakiejś rozmaitości, chciałoby się zobaczyć coś, coby chwilowo zwróciło uwagę, co by przerwało tę niezmaconą jednostajność dwóch błękitów: jaśniejszego u góry, ciemniejszego u dołu. Chciało by się zobaczyć choćby ptaka, choćby chmurkę, choćby jaką łódź rybacką, jeżeli nie okręt. A tymczasem nie widzi się nic. Pustka. Cisza. Ma się wrażenie, że świat się zapadł w to błękitne morze, że tak będziemy płynęli bez końca; człowiek bowiem, którego myśl nie znosi próżni, a zawsze ogranicza się czasem i przestrzenią, zaczyna się niepokoić w końcu, gdy czuje, że płynie, że się ze znaczną szybkością posuwa naprzód, że w ciągu godziny przebywa dużą przestrzeń, a tu nie widzi końca tej nieprzejranej pustyni wodnej, tylko wciąż widzi morze i niebo, niebo i morze. Pierwszego dnia jeszcze pół biedy, ale gdy w ciągu następnej doby znowu powtarza się to samo, to w końcu zaczyna się mieć chwile wątpiwości, zali tam istotnie jest jakiś ład, kiedy go jeszcze nie widać po 30-tu godzinach drogi. To sprawia, że po 40-tu godzinach jest się zmęczonym i jakby zrezygnowanym, popada się w jakiś stan apatyi. Wszystko nudzi, wszystkiego ma się dosyć, począwszy od książki, a skończywszy na fortepianie i flircie. Ma się tylko jedno pragnienie: ach, żeby już zobaczyć ład! Człowiek sobie miejsca znaleźć nie może: przykrzy mu się siedzenie w kajucie, przykrzy mu się błędzenie po pokładzie, drażni go spotkanie ciągle tych samych ludzi, patrzenie na te same przedmioty, te same maszty, te same fotele i ławki, te same machonione drzwi, te same szyby w oknach, chronione mosiężnymi drutami, te same lustra, te same aksamitne kanapy, ten sam porządek, w jakim się zasiada do stołu, te same... Ciągłe to samo, i tak już od tygodnia! Ma się dosyć tego wszystkiego. Pożąda się zmiany. Czy wszyscy przechodzili przez podobne fazy? Nie wiem, ale wiem, że ja przechodziłem przez nie, a odetchnąłem, gdy nareszcie ujrzałem rąbek lądu. Co do reszty pasażerów,



to widziałem tylko, że każdy starał się na swój sposób *passer le temps*: jedni czytali, drudzy grali w karty, inni co chwila jedli lub pili, inni starali się spać, inni pisali listy (co i ja także czyniłem kilka razy), inni całemi kwadransami gapili się na morze, na którym nic nie było widać, inni, jak p. Engelman spacerowali po pokładzie, pogwizdując sobie jakieś melodie z operetek, inni wreszcie, jak pani Stone między innymi, zabawiali się flirtem... Oczywiście, że ta rozrywka *pour passer le temps* nie mogła się odbywać w formie monologu, ani w formie tercetu, lecz w formie duetu. Dlatego widziało się pary, które zajęte studyowaniem tego duetu, zdawały się szukać samotności, zdawały się szukać takich miejsc, gdzie by o ile możności jak najmniej były na widoku. Pod tym względem w najlepszych warunkach znajdowała się pani Stone, która korzystając z przywilejów, jakie sobie zdobyła wyjednać u kapitana, miała do swojej wyłącznej dyspozycji *Cabine de luxe*, o ile nie chciała przebywać na pokładzie, i specjalny hotel kapitana, ocieniony rodzajem baldachinu z żaglowego płótna, o ile chciała siedzieć na świeżym powietrzu. Ilekroć zdarzyło mi się przechodzić koło tego hotelu, na którym „rozwalona“ pani Stone wyglądała jak Kleopatra na tronie, lub koło tej *Cabine de luxe*, mieniającej się szlifowanymi zwierciadłami, pasowemi atlasami i pluszem, i ile razy tam zdarzyło mi się zobaczyć kapitana rozmawiającego z piękną rudowłosą Angielką, zawsze mi w uszach brzmiał duet z *Don Juana* Mozarta, nieśmiertelne *La ci darem la mano*... Zaś ile razy spotykałem pana Stone, który bardzo pomizerniał od czasu naszego pobytu w Gibraltarze, zawsze mi przypominał się poczciwy Masetto z tejże opery nad operami...

Tak upłynęły dwie doby, najmniej urozmaicone z całej podróży, a teraz dopływaliśmy do Marsylii, która powoli zaczęła się wylaniać z oddali. Wkrótce zaczęliśmy rozróżniać pojedyncze domy, wieże kościołów, wysokie kominy fabryk, maszty okrętów w porcie, a jednocześnie co chwila mijaliśmy łodzie rybackie z pozwijanymi—dla braku wiatru—żaglami. Po chwili minęliśmy pierwszą latarnię morską, strzegącą wejścia do portu, a w kwadrans później usłyszeliśmy łoskot spuszczonej kotwicy... Kilkaset metrów oddzielało nas od brzegu, a na tym brzegu wrzała gorączkowa praca, dająca przedsmak wielkiego europejskiego miasta: na tle wysokich domów trzypiętrowych, upstrzonych olbrzymimi napisami i anonsami, między którymi nie brakło ani *Cacao van Houten* ani *Petit Journal*’u, pracowały żelazne windy parowe, uwijało się mnóstwo ludzi, leżało mnóstwo towarów, beczek, desek, węgiel kamienny, krzyżowały się wozy ładowne, a blisko brzegu, zaraz za granitowym bulwarem, pod którym była przystań dla łodzi stał długi szereg dorożek i omnibusów hotelowych.

Zbliżała się chwila pożegnania, chwila, w której i ja i nasz dzielny kapitan mieliśmy się pożegnać z państwem Stone. Co do mnie, to mi serce nie biło na myśl o tem pożegnaniu, gdyż to pożegnanie miało być tylko chwilowe: za dwie godziny mieliśmy się zobaczyć na dworcu kolejowym, z kąd o 7-ej mieliśmy *rapide*’m jechać do Paryża. Ale kapitan? Jego czekało pożegnanie na zawsze. Mógł być pewnym, że już nie spotka ani pana Stone, na którym mu zależało najmniej, ani powabnej pani Stone, na której mu zależało tyle. Ztąd pożegnanie, które się odbyło w chwili, gdy p. Stone zeszedł do kajuty, musiało być dość sentymentalne, bo *ça rend toujours triste l'idée de ne plus se voir*. Zdaje się, że i pani Stone żałowała trochę, iż podróż nie miała potrwać jeszcze kilku

dni dłużej... Wówczas, kto wie... Ale po chwili wrócił p. Stone, a za nim niesiono masę paków, walizek, pudełek od kapeluszy, pleców, etc. Jednocześnie zjawili się przewoźnicy, którzy zaczęli polecać swoje łodzie, już stojące przy spuszczonej schodach okrętowych. Trzeba się było żegnać, spieszyć, przepychać, myśleć o pakunkach, pilnować się swego przewoźnika... W takich chwilach jest się nadzwyczaj prozaicznym i praktycznym pozytywistą: idealista, nawet taki, który chwilowo dał się rozmarzyć jakiej parze pięknych oczu, przestaje być sobą, a zaobserbowany poziomą i denerwującą rzeczywistością, z hymnu zstępuje do prostej powieści. Tak też było i ze mną. *Nolens volens* przestałem myśleć o mej pięknej towarzyszcze podróży, a o pani Stone i kapitanie Marinelli, z którym w ostatnim rozgardyaszu nawet się zapomniałem pożegnać, nie pamiętałem tembardziej.

Przypomniałem sobie dopiero na słynnej *Cannebière*, z której, jako z najpiękniejszej ulicy w Marsylii, Marsylczycy tak są dumni, że jeden z nich, zapytany, jak mu się podobał Paryż, wyraził się o nim, że gdyby jeszcze posiadał taką ulicę, jak *Cannebière*, to nie brakło by mu wiele, ażeby być rodzajem małej Marsylii... Swoją drogą bezstronność nakazuje przyznać, że istotnie jest to ulica piękna, wytrzymująca porównanie nawet z paryskimi bulwarami... Po czarnej kawie, wypitej w jednej z licznych kawiarni, zupełnie przypominających bulwarowe paryskie, spacerując po szerokim trotuarze, na którym już czułem się w Europie, spotkałem państwa Stone z córkami, którzy umywszy się na dwórcu, co i ja uczyniłem przed godziną, także wyszli na miasto, ażeby o niem nabrać choć powierzchownego pojęcia. Ponieważ zapytani przezemnie, czy pozwolą sobie towarzyszyć, odpowiedzieli, że *avec le plus grand plaisir*, więc od tej chwili asystowałem im ciągle, a idąc z pannami, z którymi co moment stawaliśmy przed gustownymi wystawami sklepów, ile razy obejrzałem się na piękną panią Stone zawsze mi się przypominał kapitan Marinelli, który...

Który o godzinie 7-ej, kiedyśmy się przechadzali po peronie, czekając na idący do Paryża *rapide*, zjawił się niespodziewanie, już ubrany po cywilnemu, wyświeżony, ostrzyżony, z cudownie rozdzieloną brodą, z wąsami wyciągniętymi żelazkiem, z fijołkami w butonierce, a przeslicznym bukietem w ręku. Bukiet był dla pani Stone... Patrząc na ten bukiet, który po chwili znalazł się w ręku pięknej Angielki, mimowoli powtarzałem sobie:

Kobieto! Puchu marny! Ty jesteś, jak zdrowie!...

Tymczasem p. Stone był zajęty ekspedycyowaniem kufrów.

\*

\*

\*

W tydzień później, w Paryżu, zdarzyło mi się być w Wielkiej Operze. Śpiewano *Romeo i Julia*, a występowali Reszkowie i Melba. Na antrakcie, jak zwykle, poszedłem pospacerować po wspólnym *foyer*, po którym zawsze przechadza się z taką rozkoszą, i tam, o dziwo! spotkałem państwa Stone z córkami, a przy nich, obok pięknej pani Stone w balowej tualecie, w której rzeczywistości wyglądała nadzwyczajnie, ujrzałem... Kogo? Pana Hautecoeur, który, ufryzowany, z wąsami wyciągniętymi żelazkiem, we fraku, z fijołkami w butonierce, nietylko mógł być wzięty za Dumasa Syna, ale nadto miał minę człowieka,

któremu chwilowo nie brak do szczęścia... Nie wiem, na podstawie jakiej asocjacji idei, ale spostrzegłszy go, mimowoli pomyślałem o kapitanie Marinellim...

## Z bieżącej chwili.

— Ojciec św. Leon XIII obchodził w d. 1 b. m. sześćdziesiątą rocznicę kapłaństwa.

— W Poznaniu zmarł w tych czasach ś. p. Marceł Motty, długoletni niegdyś profesor przy gimnazjum św. Maryi Magdaleny i szkoły realnej oraz kierownik naukowy żeńskiego zakładu p. Poplińskiej, a następnie w r. 1857 panien Danysz w Poznaniu. Był to mąż uczony, tłumacz Horacyusza, Owidyusza i Arystofanesa, kolega i przyjaciel takich ludzi, jak Hipolit Cegielski, Bentkowski, Libelt, Małecki. Ś. p. Motty urodził się w r. 1818; doktoryzował się w Berlinie 1840 r. Pozostawił po sobie pamięć jak najlepszą.

— W Krakowie rozstał się z tym światem ś. p. Lucyan Malinowski, profesor filologii słowiańskiej na uniwersytecie Jagiellońskim. Pochodził z Królestwa Polskiego; urodził się w r. 1839. Do szkół uczęszczał w Szechrzeszynie i Lublinie; skończył Szkołę Główną. Doktoryzował się w Lipsku. Powołany na uniwersytet Jagielloński, ś. p. Lucyan Malinowski wykładał filologię słowiańską i gramatykę języka polskiego. Z pod pióra jego wyszły dzieła następujące: „Zarysy życia ludowego na Szląsku“, „Głosy polskie z końca pierwszej połowy, XV wieku“, „Przyczynki do historii wyrazów polskich“, „Studia nad etymologią ludową.“ Był członkiem Akademii Umiejętności.

— Pisma amerykańskie, donoszą iż Edison odkrył kruszec, który w połączeniu z lanem żelazem daje mu trwałość żelaza kutego; wynalazek ten będzie miał wielką doniosłość dla przemysłu żelaznego.

## OD WYDAWCY.

Początek drukującej się obecnie w dodatku do „Bluszczu“ powieści

pod tytułem:

## Masarenowie

nowi prenumeratorowie otrzymać mogą na żądanie bezpłatnie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkuś 8 powieści, p. t. *Masarenowie*, przez Ouidę. Przekład Z. S.

**Treść:** Adam Mickiewicz, przez Adama Dobrowolskiego (z rysunkami).—**Ruch niewieści w Niemczech** (dalszy ciąg). — Z cyklu „Serdeczne pieśni,“ przez Wandę Krasuską.—**Bezkrólewie**, powieść historyczna w 2-eh częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg). — **Z Rzymu**, przez Ig. Dąb.—Ferdynand Hösic. **Kartka z podróży**.—**Z bieżącej chwili**.

**Dodatek obejmuje:** *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkuś 8. Przekład Z. S.—Przeгляд mód. 37 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.—Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 14 Января 1898 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.